

Zmarł niezapomniany Franek Dolas

Wspomnienie. Aktor MARIAN KOCINIAK nie żyje. Miał 80 lat. Zapamiętamy go dzięki roli w filmie „Jak rozpętałem drugą wojnę światową”

Lucjan Strzyga, Łukasz Gazur
kultura@dziennik.krakow.pl

O swoim dzieciństwie nie rozwodził się z sentymentem. Mówił, że jest chłopakiem wychowanym na Dolnym Mokotowie. Mieszkał przy Łazienkach, na Bończy, ulicy, której dziś nie ma. W okolicy panowała straszna bieda. Ojciec kupował tytoń i gilzy, robił papierosy, a on je sprzedawał. Jeszcze przed okupacją. Biegał po ulicy i krzyczał: »Papierosy swej roboty! Papierosy! Papierosy!«. To były zaczątki mojego aktorstwa”.

Od Pana Profesora do Dolasa

Aż trudno uwierzyć, że z powojennego warszawskiego apasza wyrósł jeden z najpopularniejszych polskich aktorów. W oficjalnym CV Mariana Kociniaka czytamy: Absolwent PWST w Warszawie (1959) i uczeń Ludwika Sempolińskiego. Przez kilka dziesięcioleci prawie bez przerw występował w macierzystym Teatrze Ateneum. Często pojawiał się także w Teatrze Telewizji, m.in. w „Moskwie Pietuszkach”, „Elegii dla jednej pani”, „Igraszkach z diabłem” oraz w spektaklu „Coś w rodzaju miłości”. Występował również w Kabarecie Starszych Panów. Współpracował także z radiem, występując w magazynie „60 minut na godzinę”, gdzie tworzył parę z Andrzejem Zaorskim w legendarnych skeczach z serii „Kulisy srebrnego ekranu”, natomiast wykonywana przezeń piosenka „Powtórka z rozrywki” rozpoczyna do dziś program pod tym samym tytułem na antenie radiowej Trójki.

Choć był aktorem wszechstronnym, jego największą pasją okazało się kino. Na ekranie za-



„Nazywam się Grzegorz Brzęczyszczkiewicz” – czyli legendarna już scena z filmu „Jak rozpętałem...”

Człowiek się w życiu nagrał, narozrabiał. Jest co dźwigać. Czuję się spełniony

Marian Kociniak

debiutował w 1959 r. w filmie „Pan profesor”. Zagrał w ponad 30 obrazach. Od „Niewinnych czarodziejów” z 1960 r., gdzie pojawił się w charakterze widza na koncercie jazzowym, po serialową „Głęboką wodę” z roku 2013, w której wcielił się w profesora. A po drodze były m.in. „Czerwone berety” (1962 r.), „Ostatni po Bogu” (1968 r.), „Janosik” (1974 r.), „Jan Serce” (1981 r.), „Trójkąt Bermudzki” (1987 r.), czy „Pan Tadeusz” (1999 r.).

Szczęśliwą kartę dostał od losu w 1969 r. To wtedy zagrał swoją nieśmiertelną rolę

w trzyczęściowej komedii wojennej „Jak rozpętałem drugą wojnę światową” Tadeusza Chmielewskiego.

„Oglądając film Chmielewskiego trudno oprzeć się wrażeniu, że główna rola została napisana specjalnie dla Kociniaka – pisał przed laty Krzysztof Demidowicz na łamach »Filmu«. – Jeśli tak nie było, trzeba reżyserowi pogratulować wyboru wykonawcy. Takiego popisu wdzięku, brawury i poczucia humoru ani wcześniej, ani później w rodzimej komedii nie podziwialiśmy”. I tak zostanie zapamiętany.

Dolas gra w trzy karty

„Rola Franciszka Dolasa przyniosła mi ogromną satysfakcję i wielką popularność. Film jest zabawny. Najlepszy dowód, że chodzi w telewizji na okrągło, a Polonia amerykańska zażąda-

ła pokolorowania, co wiele kosztowało. Jednocześnie praca mnie zmęczyła. Kręciliśmy z półtora roku. Zaplanowaliśmy jeden film, a wyszły trzy serie” – mówił w rozmowie z „Rzeczpospolitą”. Zastrzegając jednocześnie, że udało mu się uniknąć pułapki sławy, w jaką po „Stawce większej niż życie” wpadł Stanisław Mikulski.

„To była rola bliska cwaniakowi z Dolnego Mokotowa. Nie musiałem się specjalnie nagiąć” – dodawał.

Ale nie wierzymy do końca w tamte słowa artysty. Dla większości rodaków do końca życia pozostał Frankiem Dolasem, dzieckiem szczęścia, który kiwał Niemców na wszystkich wojennych frontach i ogrywał Arabów w trzy karty. Nawet rola niezgułowatego margrabiego w „Janosiku” nie przyćmiła jego wojennej sławy. Na drugiego

Hansa Klossa się nie nadawał: był za niski, miał szczerą słowiańską twarz i kiepsko wyglądał w mundurze. Próby nadania mu miana „polskiego Belmonda” spęzły na niczym.

Poza tym potrafił odpuścić sobie kino i ukryć się w teatrze. Nie bez powodu był nazywany „zwierzęciem scenicznym”: grał instynktownie, nabijał się z kolegów aktorów, którzy przygotowując się do banalnego spektaklu, czytają o filozofii i historii. Był świadom swoich umiejętności aktorskich. „Ma pan poczucie władzy nad widzami? – pytał go Remigiusz Grzela w wywiadzie-rzece „Spełniony”. „Może jestem zadowolony, ale wydaje mi się, że całkowicie panuję” – odpowiedział mu Kociniak.

Nie dawał się szufladkować

Bycie osobnym i trzymanie się z dala od środowiskowych koterii i mód dawało Kociniakowi to, o czym wielu aktorów bezskutecznie marzy – niezależność. Dzięki temu dawał się poznać w najbardziej niezwykłych rolach. Janusz Kukula, dyrektor Teatru Polskiego Radia, przypomina, że Marian Kociniak był jednym z najważniejszych aktorów Teatru Polskiego Radia. „Zagrał w 1100 słuchowiskach, więc to jeden z naszych rekordzistów. Jego śmierć to wielka strata dla polskiej kultury. Sam miałem przyjemność pracować z nim przy co najmniej 50 słuchowiskach. Pamiętam szczególnie jedno. Grał żołnierza, który w plecaku nosi drugie serce” – dodaje.

Kociniak miał bowiem opinię aktora tragikomicznego o dużej skali wyrazu. Grane przez niego postaci rozbierały publiczność, ale jednocześnie skłaniały

do zadumy i refleksji. W jednym z nielicznych wywiadów, którego udzielił w 1993 r. magazynowi „Film” tłumaczył, że „najważniejsze jest utożsamienie się z postacią. Muszę być głęboko zaangażowany w to, co robię, muszę uwierzyć w przeżycia i reakcje mojego bohatera”. „Ty nie myśl, tylko graj i mów prawdę. Będę wiedział, kiedy kłamiesz – wspominał jeszcze radę swojego przyjaciela, Henryka Borowskiego, która – jak mówił – towarzyszyła mu się całe życie. Można to potraktować jako jego credo aktorskie – „Iść zawsze pod prąd”.

A w wywiadzie dla „Dziennika Polskiego”, podsumowując swoje życie, dodawał: – *Trochę odczuwam ciężar tych lat, to jednak jest pięćdziesiątka. Człowiek w życiu się nagrał, trochę narozrabiał, jest więc co dźwigać. Uważam się za człowieka spełnionego pod względem ról i finansowym. Mam wspaniałą żonę. Wystarcza mi na rodzinę, na wnuki, na dzieci. Więcej mi nie trzeba. Mam dom na wsi, sam go zaprojektowałem. Spędzam tam pół roku. Oglądam bociany, robię sesje karciane. Przyjeżdżają kolesi, pitraszę im mięsiva na grillu, a potem tak sobie gramy w karty, gadamy, wspominaemy. Guciu (Gustaw Holoubek – przyp. redakcji) mówił: „Pamiętaj, Marian, teatr jest bardzo ważny, ale najważniejsze w życiu jest samo życie”. Nauczył mnie tym jeszcze jednej rzeczy. Mogę sobie dziś spojrzeć w oczy i powiedzieć: nie zmarnowałem życia i niczego bym w nim nie zmienił.*

I te słowa są najlepszym epitafium dla zmarłego w czwartek aktora.

©©